

Lecz zaklinam niech żywi nietracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.

J. Słowacki: Testament mój.

WIADERKO WODY.

Obrazek rodzinny z czasów Napoleona I.

przez N. Jaskółkę.

[Dokończenie].

Piotr za szlachetne i honorowe postępowanie w służbie p. Teodora, zasłużył sobie dawno na to, byśmy go uważali za członka rodziny. Kocha On nas wszystkich i w Acana nieobecności, p. Janie, kochał on wnuka Jasia i mustrował go przy dziale zrobioném z wydłubanej wierzby i uczył go jeździć konno, i codziennie po lekcyi bierze Jasia z jego mlecznym bratem, Aleksandrem, a synem Kasi pani Teodorowej, celem odbywania podobnych ćwiczeń. To też Mości panie wnuk mój już dosiada swego podjeżdka jakby jaki dawny Korab. To mówiąc, jakoby na zakończenie wąsa białego staruszek podkręcił, pociągnął ku sobie wnuka i uściskał, a Piotrowi ręką krzesło wskazał przy stole. Tu dopiero Piotr znalazł się jak piskorz w ukropie, bo państwo Teodorowie prawie z goryczą wymawiali mu, dlaczego on im nie powiedział że ocalił życie p. Janowi, — gdy co chwila opowiadał każdemu po sto razy najmniejszy czyn swego piekielnego komendanta i całej bateryi. Piotr krząkał, sykał, kręcił się na krześle, spoglądał błagalnie po kolei na wszystkich, ale przyciskamy zapytaniami machnięciem ręki i niemal ze złością odpowiedział:

Cóżem zrobił, — cóżem zrobił, — cha! szczególniejsza rzecz i cóżem miał zrobić do stu tysięcy granatów i kartaczy, — byłem żołnierzem i basta rozumie się że basta, bom zrobił swoją służbę, zakończył cisnąc ramiona swego rekruta, stojącego pomiędzy jego kolanami tak mocno, że aż chłopczyna się skrzywił.

I byłby tak Bóg wie jak długo okręcał prawdę w niezrozumiałe wykrzykniki, aż p. Jan mu przerwał, — ale skoro Piotr usłyszał, że to będą powtarzać ów czyn szlachetny, a który on uważał za tak powszedni, że nawet niewarto było o nim mó-

wić, zerwał się nagle i zawołał, trzymając Jasia za rękę:

Jasiu! paniczu — rekrucie — dalej prędzej marsz do stajni, na koń i do ujeżdżalni, — czas do szkoły konnej i basta. To mówiąc, skierował się ku drzwiom, i byłby niezawodnie wyszedł, ale p. Jan odezwał się ostro:

Bombardierze, wrócić się, siadać i słuchać spokojnie.

Słucham komendanta, odrzekł Piotr zupełnie odmiennym głosem, i cofając się wyprostowany, a nie spuszczając ócz z komendanta, usiadł na rogu krzesła, ze spokojnością dziecka zastraszonego rózgą.

Tu pan Jan odpowiedział, jak pewnego razu wieczorem opuścił bateryą, wsiadł w czółno z samym tylko Piotrem i przeprawił się na drugę stronę rzeczki dla porozumienia się z dowódzcą piechoty względem jutrzejszego zaatakowania Moskali.

I dla widzenia się z Panną.... dorzucił Piotr.

Piotrze, milczéć! rzecze p. Jan, dziś ona już twoją komendantową.

To było do przewidzenia, komendancie, owego wieczora wtrącił Piotr, poprawiwszy się na krześle. Pan Jan opowiadał dalej, jak się zabawili aż kilka godzin po północy, a po załatwieniu interesów wrócili nad brzeg rzeki do czółna, ale to gdzieś znikło, i nie mieli czasu wyjść z podziwienia, gdy w łozinie nadbrzeżnej coś zaszumiało i podniosło się kilkunastu ludzi, a jeden głos po moskiewsku zawołał:

Poddajcie się, nie ma dla was obrony!

Piotr schwyciwszy komendanta w pół, jak wydra w mgnieniu oka skoczył do wody i tak z biegiem rzeczki zmusił swego pana do zrobienia nurkiem kilku sążni. Wypłynąwszy na powierzchnią wody, przyczaił się do wysokiego brzegu, aby odetchnąć, a porozumiawszy się z komendantem na migi, zaczęli płynąć w cichości grobowej z biegiem na ukos rzeczki w przeciwnym kierunku. — Moskale ogłupieli niespodziewając się podobnego wykrętu, tém bardziej, że było to w miesiącu marcu; zanim zaś wyszli z osłupienia i przeszli owe kilka sążni łoziny i suchego powikłanego zielska, już na wodzie nic nie spostrzegli. Uciszyli się chcąc usłyszeć sapanie lub pływanie, a gdy to im nic nie pomogło, zaczęli strzelać w prawo, w lewo i przed siebie po wodzie. Szczęśliwym trafem kule latały około nich, nie szkodząc im. Płynąc tak, już byli na jakie kilka łokci tylko od brzegu, gdy pan Jan krzyknął, i zanurzył się w wodzie; — był to kurcz, który mu nagle sparalizował nogi i skręcił je prawie kolanami pod brodę. Piotr dawszy nurka, uchwycił komendanta, i tak z tym drogim ciężarem dobywał nadludzkich sił, aby do brzegu dopłynąć. Moskale kierując się krzykiem dali ognia i długo jeszcze takowy utrzymywali. — Piotr zdołał przecież utrzymać głowę komendanta ponad wodą i za pomocą nadbrzeżnych gałęzi wierzbowych, pod ogniem bardzo niebezpiecznym, wyciągnął go na brzeg.

Lecz tu nowa zaszła trudność nogi prawie sparalizowane, a kule jak muchy brzęczą w koło uszu, komendant zaledwie oddycha i zwinięty cały w kłąbek stęka z bolu. — Piotr wziąwszy go tedy na plecy, przyniósł swego pana kłusem na kwaterę. Tam rozebrano, tarto i przywrócono wreście do władzy nogi komendata.

W czasie opowiadania którego wszyscy z zajęciem słuchali, — Piotr zmuszony siedział, ale często robił ruch nieukontentowania, a gdy pan Jan skończył, mały Jaś odwrócił się do swego bombardiera schwycił go za szyję i kołysząc się tak, serdecznie całował. Pan Jan dodał:

Takim więc sposobem czuję wielką dla Piotra wdzięczność, bo on mi ocalił życie z narażeniem swego własnego.

Wszyscy po kolei ściskali ręce zacnego wojaka, a ten mruczał pod nosem, że to wszystko nie zasłużone, bo on zrobił tylko to, co był powinien. Jaś mały szeptał mu w ucho, że go jeszcze więcej kocha, i że nigdy, już nigdy nie będzie mu żaby rzucał pod nogi. Potrzeba tu nadmienić, że nasz dzielny bombardier, który tyle razy widział śmierć przed oczami bez najmniejszego przestrachu, na widok żaby odwracał się z obrzydzeniem, a raz, gdy mu ją położono z nienacka na karku, dostał nerwowego napadu.

Chorąży i dzieci już dawno się rozeszli na spoczynek, a bracia, bratowa Piotra, i Jaś (bo ten w czasie opowiadań wojennych był zawsze obecny

i zdawało się, że pożera każde słowo, nie myśląc już o figlach i psotach, do których był zawsze gotów) siedzieli jeszcze, i z uczuciem zamieniali opowiadania wspólnych przejść, tak pomyślnych jak smutnych.

Pani Teodorowej przy pierwszém spojrzeniu na brata męża jakaś myśl przeszła przez głowę, i jakieś miłe choć nieokreślone uczucie objęło jej serce. Patrzała nieprzerwanie w oczy pana Jana, ale i on często patrząc na bratową zamyślał się pomimowolnie.

Pan Jan już był dni kilka w gronie rodziny. Nieustannie rozmawiano, opowiadano coś ze wspomnień rodzinnych, to z ostatniej wojny, aż nareszcie wpadnięto mimochodem na czasy Napoleońskie. Jednocześnie pan Jan i pan Teodor, za wymówieniem tego imienia westchnęli z głębi serca i pokiwali głową, a pan Teodor nic nie mówiąc z miną poważną wskazał bratu ręką wiszący na ścianie, w bogatych ramach piękny olejny portret swego bożyszcza. Wśród opowiadań o wojnach Napoleońskich przyszła też kolej i na Hiszpańską kampanję. Pan Teodor rozgrzany wspomnieniami niewygód i niebezpieczeństw spotykanych w tym kraju na każdym kroku, klasnął palcami, a zwróciwszy się do żony, zawołał z przemileniem:

Moje ty kochane Jagniątko, każ przynieść, co potrzeba a zrobimy sobie z Janem hiszpańskiego pończu. Na te słowa Pan Jan, nadstawił ucha przechylił głowę, potarł czoło i mruknął:

— Hm!

— Janie! cóż tam masz nowego? zawołał pan Teodor.

— Rzeczywiście, odpowie pan Jan rzecz szczególną, jakie wspomnienie przywołuje mi na pamięć to pieszczotliwe imię: Jagniątko!

W tej chwili Pani Teodorowa spojrzawszy na brata, zdawała się przenikać go swym wzrokiem do głębi duszy.

Janie, cóż tam takiego, — wiesz przecie, że żonie mojej imię Agnieszka, więc je w chwili szczęścia nazywam Jagniątko, bo tak ją rodzice w pieszczotach nazywali.

Właśnie to pieszczotliwe imie przypomina pewien wypadek, z czasów pochodu do Moskwy. Zdarzenia tego do śmierci nie zapomnę, tak mi się w ów czas głęboko wryło w serce.

Posłuchajcie! Gdyśmy przechodzili nie daleko od miasta N. był upał tak nieznośny, a ztąd kurz duszący i ludzi i konie. Dano rozkaz z góry aby zabronić ludziom picia wody w poblizkiej wiosce. Ja w bateryi byłem dyżurnym podoficerem, — gdyśmy stanęli na środku wsi, kolumna się zatrzymała, bo saperzy rewidowali most na strumieniu, czy artylerya będzie po nim mogła przejść bezpiecznie.

Komendant i oficerowie pojechali tam także, a mnie ponowiono skinieniem, zakaz picia wody. Staliśmy wprost naprzeciw jednego dworku. Szlachcic z całą rodziną był przy bramie, a dziewczeczka śliczna, jak anioł z jasnym włosem, półkwarciami czerpała wodę z wiadra stojącego na słupie bramy i rozdawała żołnierzom co z daleka widziałem. W bateryi wszyscy mieliśmy afrykańskie prawie pragnienie, ale cóż? rozkaz był wyraźny, więc potrzeba było po komendzie, nie mieć pragnienia. Dzieweczka nie wiedząc że ja Polak, zaczęła mnie tak serdecznie prosić, abym pozwolił pić żołnierzom, że mi się coś miękko na sercu zrobiło i pomyślałem sobie: — Cha! co tam pójdę do kozy, ale dobre dziewczę uszczęśliwię. Pozwoliłem, a ona namawiała mnie bym i ja się napił. Ujęty jej dobrem sercem niewiedząc sam, co robię napiłem się. Ona mi dziękowała, błogosławiła i zapewniała, że za moję dobroć pozwoli Bóg powrócić do żony i dzieci. Łzy mi się cisnęły do oczu ale na słowa naiwnie wymówione: „Żona, dzieci“ zaśmiałem się i powiedziałem dopiero po polsku:

Panienko, ja nie mam żony i zapewne jej mieć nie będe, ale mam brata ułanem, to ci go dam na męża. Dziecko klasnąwszy w ręce podskoczyło z radości i zawołało: Ach! mam pięknego ułana, będę miała ułana, aż ojciec z powagą i rozrzewnieniem zawołał, „Jagniątko moje, cóż ty wygadujesz.“ W tem komendant nadjechał myśmy ruszyli dalej a dziewczynka wołała:

„Gdzie jest mój piękny ułan jak się on nazywa, za was obydwóch będę prosić Boga abyście wrócili“ i t. d. wołała dziecina a my szli dalej. Powtórzone przez ciebie, Janie, to pieszczotliwe imię, sprawiło mi wielką rozkosz, bo ono tkwi mi dotąd

w sercu, a kto wie? Jeżeliśmy wrócili z tak okropnej wojny żywi, czy to nie prośba owego dziewczęcia sprawiła? kto wie czy jej Bóg nie wysłuchał?!... Po tych słowach spojrzał pan Jan uważnie na braterstwo i cóż zobaczył? Siedzieli oni obok siebie z rękoma splecionemi w uścisku, patrząc sobie nawzajem w oczy i... płacząc z radości.... pani Teodorowa uścisnąwszy brata Jana i ze łkaniem wspierając głowę na jego piersi rzekła:

Bracie! Bóg ci zapłać za ułana! Ową dzieweczką ja jestem, — mówisz, że Bóg mnie wysłuchał, — a ciebie czyż Bóg nie wysłuchał? czyż nie ziścił twego proroctwa? bracie! o jam szczęśliwa z ułanem zacnym szlachetnym Teodorem, i za niego ci odpowiem że i on szczęśliwy z ową szynkareczką wody.

Pan Jan zdumiony patrzył to na brata, to na Piotra i Jasia i cisnął serdecznie bratową do wzdętych, szerokich piersi, a łzy jak groch spadały mu z oczu w końcu westchnął spojrzał w górę i zawołał z uczuciem: „O nieprzewidziane są wyroki Opatrzności, dzięki ci o Panie, żeś mi dozwolił być uczęstnikiem najpiękniejszej i najszczęśliwszej w życiu mojém chwili!“ — W tym samym czasie Kasia, stara służąca pani Teodorowej, a mamka i niańka Jasia szeptała coś z panią, aż ta przemowiła do brata: Janie patrzaj, ta kobieta przyniosła mi dwa wiadra wody, i gdym została żoną Teodora, ona prosiła rodziców moich, aby jej pozwolili pójść ze mną na gospodarstwo i ona jest naszą sługą-przyjaciółką, ale i zepsuciem naszego Jasia, a jej mlecznego syna, z którym rady dać sobie nie może gdy zacznie dokazywać razem z Aleksandrem.

Ba juści, a cóż pani chciała inaczej, przecież Jasio to syn ułański, jeszcze takiego ułana co go ten pan wyprorokował, to nie może być jak dziewczątko, co robi pończochę. To mówiąc ucałowała rękę pana Jana, który wraz z Teodorem uśmiechał się pod wąsami.

Pan Jan bawił jeszcze kilka dni w domu braterstwa, dowiedział się, że brat ich najmłodszy ukończył szkołę sztabu, i że go z Petersburga wysłano za współudział w rewolucyi z 1831 nad Czarne morze, gdzie został atamanem jednej dywizyi czarnomorskich kozaków, zkąd do Teodora przysłał był kibitką jednego ze swych kozaków zwanego Semenem, z kaukazkami podarunkami.

Pan Jan odjechał do domu z zapewnieniem, że choć mieszka daleko, jednak go Teodorostwo odwiedzą, razem z Jasiem i Piotrem, bo Piotr wyraźnie powiedział swemu piekielnemu komendantowi, chociaż ze łzami, że nie może z nim jechać i opuścić służby, gdyż musi swego rekruta Jasia wyćwiczyć zupełnie, i potem z nim pójść razem bić na kwaśne jabłko dziegciarzy, jak zawsze nazywał Moskali; lecz, że gdy państwo Teodorostwo pojadą do brata, to on będzie im służył za woźnicę i przywiezie Jasia aby się przed kochanym stryjem popisał szkołą kawalerzysty i kanoniera.

VII.

W pamiętnej nocy z 22 na 23 Stycznia 1863 pod sztandarem narodowym, wolności i równouprawnienia znalazło się w różnych punktach kraju siedmnastu synów i wnuków Jana i Teodora Korabiów i ich trzech sióstr, do walki za wolność ojczyzny a z nimi kilkunastu sług-przyjaciół; między innymi z Jasiem stary Piotr i rówiesnik pierwszego, mleczny brat Alexander. Oddawna byli już w grobie na ziemi ojczystej: sto kilkoletni starzec Ignacy Cześnikowicz Chorąży Korab, za nim p. Teodor z żoną, pan Jan z żoną, i siostrami a wszyscy otoczeni powszechnym szacunkiem i przyjaźnią co ich znali, do tego nawet stopnia, że i mieszczanie sąsiednich miasteczek nie wyłączając żydów, szli za ich pogrzebem. Najmłodszy Korab porzucił brzegi Czarnego morza i Kaukaz, widząc nikczemne postępowanie Moskali ze szlachetnymi Czerkiesami a nie chcąc być uczęstnikiem podboju wolnego narodu, udał się podobno do Ameryki i tam miał zbić miljony. Teodor i Jan zostawili każdy trzech synów i trzy córki, również każda ze sióstr pozostawiła dzieci. — Jaś z Piotrem i Aleksandrem walczyli także w r. 1848, a z nimi trzech braci stryjeczno-ciotecznych.

Rodzina Korabiów rozradzająca się coraz bardziej uległa prześladowaniom losu i ubożała majątkowo. Ale była ona i jest bogatą w cnoty obywatelskie, jest wielką i bogatą w patryotyczne bez granic poświęcanie się dla Polski i dla podniesienia zacnego i szlachetnego wiejskiego ludu, była i jest taką, jak na Korobiów przystało!

Koniec.

Drukiem M. Biłousa w Kołomyi 1870